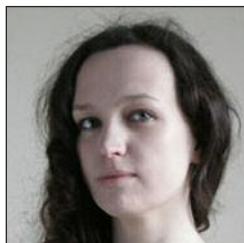


Reżyserzy – rządcy dusz



BARBARA SZEWCZYK

Reżyser filmowy, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi i New York Film Academy w Nowym Jorku

Nie tylko temat, ale właśnie sam film, jego jakość i sposób oddziaływania mogą być tym, co da polskiemu widzowi poczucie satysfakcji i dumy

Co, jeśli nie kultura, kształtuje tożsamość narodową? Dziś szczególnie, ludzie sztuki i politycy spierają się o kształt kultury i jej zadania. Artyści mają poczucie, że zabiera się im wolność wypowiedzi, że teraz do publiczności będą mogły przebić się tylko projekty o narodowym i religijnym zabarwieniu, że na scenie i na srebrnym ekranie będziemy mogli, a wręcz musieli, podziwiać tylko husarskie skrzydła i wyklętych bez skazy.

A dlaczego patriotyzm ma się kojarzyć tylko z husarskimi skrzydłami? Mądrzej byłoby mu nadać bardziej pozytywistyczny wymiar. Czy pozytywizm jest zbyt nudny, by porwać czy inspirować tłumy?

Jednym z mediów znacznie oddziałujących na myślenie mas ludzkich jest kino. „To najważniejsza ze sztuk” – mówił W. I. Lenin. Przywódca rewolucji wiedział, jaką siłę ma film. Przede wszystkim rozpowszechniany jest na szeroką skalę oraz kojarzony bardziej z rozrywką niż kulturą wysoką. Dlatego też ludzie chętniej wybierają się do kina niż do teatru. Film działa na emocje, to podstawa opowiadania

filmowego. Widz podąża za emocjami, jeśli twórcom nie uda się ich u niego wzbudzić, ten szybko zapomni o tym, co widział. Dodatkowo film – w przeciwieństwie do teatru – tworzy iluzję rzeczywistości, dzięki czemu bardziej wierzymy w to, co oglądamy. Dlatego od ponad wieku to właśnie kino może spełniać rolę rządcy dusz. Na szeroką skalę może wychowywać, inspirować, moralizować, zmuszać do myślenia. Nie raz było narzędziem w rękach władzy, a twórcy, mając świadomość swojej siły oddziaływania, mniej lub bardziej tej władzy sprzyjali. Czasem musieli, czasem chcieli, a czasem robili to nieświadomie, przemycając aktualnie modne ideologie, nie zdając sobie sprawy, że nie bez powodu promowane są one akurat w danym momencie w świecie.

W Polsce wzrasta temperatura debaty o polityce historycznej. Dwa obozy ścierają się, szafując skrajnymi poglądami. Jedni są zwolennikami patriotyzmu krytycznego, który często przemienia się w politykę wstydu, drudzy przesadzają w inną stronę, gloryfikując bohaterów bezkrytycznie.

Każda kolejna produkcja o tematyce historycznej wywołuje mnóstwo emocji. Czy można znaleźć złoty środek?

Dwie świeże, a wyczekiwane premiery tego roku, mogą stać się pretekstem do tych rozważań. Te filmy o jakże różnej tematyce i poetyce, opowiadające o polskiej historii, już teraz wywołują burzę i na pewno nie pozostaną bez śladu w pamięci Polaków. Mowa o „Wołyniu” Wojtka Smarzowskiego oraz „Ostatniej rodzinie” Jana P. Matuszyńskiego. Pierwszy z nich to duża i jak na polskie warunki kosztowna produkcja, zrealizowana przez doświadczonego i znanego reżysera. Drugi film to skromniejszy budżetowo i kameralny debiut trzydziestodwulatka.

Wojtek Smarzowski – twórca mocnego, acz zwykle dobrze skrojonego kina, kontrowersyjny, z wyraźną własną „krechą”, sięgnął po temat dotychczas w polskiej kinematografii nieporuszany. To reżyser, który nie chce kojarzyć się z żadną frakcją polityczną, który na pewno nie gloryfikował Polaków, w swojej jedynej dotychczas historycznej realizacji – „Róży”. W oczekiwaniu na „Wołyń” zadawano pytania, czy Smarzowski odejdzie od tak często zarzucanej Polakom martyrologii. Czy wpisze się w popularną dziś poprawność polityczną, niepozwalającą jednoznacznie przedstawiać katów i ofiar, szczególnie pomiędzy narodami, które z jednej strony uśmiechają się do siebie z sympatią, a z drugiej ponuro obwąchują? W tym trudnym zadaniu chyba udało mu się, o dziwo, znaleźć złoty środek. Sugestywnie przedstawił skalę i okrucieństwo rzezi, ale wskazał i na pobudki katów. Przecież nienawiść nie bierze się z powietrza. Lata poniżeń napędlają ludzi tak skrajnymi emocjami, że są w stanie zabijać w szale, nawet sąsiadów, jeśli dodatkowo jeszcze ideologiczni agitatorzy odpowiednio ukie-

runkują ich emocje. Wystarczyło wobec Ukraińców powtarzać konsekwentnie: „to Polacy są winni waszej niedoli”. Owszem, ci z najwyższych sfer pewnie byli, ale zapłacili za to niewinni polscy chłopci. I myślę, że właśnie złożoność tamtego świata i relacji międzyludzkich twórcy filmu pokazali dość uczciwie, zachowując przy tym odpowiednie proporcje. Bo to często właśnie o proporcje spieramy się oglądając kino historyczne, często nazywając je niesprawiedliwym.

Dobrze zbudowane emocje i sprawnie nakreślone pobudki bohaterów są tym, za czym podąża widz. I tego brakuje w wielu polskich filmach o tematyce historycznej

Ostatecznie każdy bardziej radykalny widz i tak zobaczy w „Wołyniu” to, co będzie chciał. Przecież już zaczęły się zarzuty recenzentów, że przedstawieni w filmie Ukraińcy to niedająca się zidentyfikować masa ziejąca nienawiścią, i że żadnego mostu między nami a Ukraińcami ten film nie zbuduje. Czy rzeczywiście reżyser zbyt mało miejsca poświęcił w filmie kwestii, skąd taka nienawiść się wzięła? Cała pierwsza część filmu o tym opowiada, ale opowiada ona w słowach, a nie poprzez emocje. To monologi agitatorów uświadamiają nam, jak czuli się Ukraińcy będąc obywatelami II Rzeczypospolitej. Byli u siebie, a mogli mniej niż nacja, która sprawowała władzę. Czuli się upokorzeni

i zapewne niejednokrotnie byli, szczególnie w okresie wcześniejszym – pańszczyźnianym, w którym panowie poczynali z chłopstwem tak, jak chcieli. A pamięć pozostała. Jednak mimo tylu wypowiedzianych w filmie słów, nie odczuwamy ich bólu i złości, bo nie przekazano nam ich emocji. Te natomiast współodczuwamy z główną bohaterką – Polką i innymi jej pobratymcami – ofiarami okrutnej rzezi. Historia o Zosi, jej emocjach, żalach, dążeniach, staraniach, a potem o jej strachu, opowiedana jest praktycznie bez słów! Między bohaterami prawie nie ma dłuższych dialogów, to urywki zdań, pojedyncze słowa. Trzeba pamiętać, że film to obraz, a teatr to słowo. Tego uczą się młodzi filmowcy na całym świecie: jak opowiadać historię obrazem, bez przegadania. Siła kina – opowiadania obrazem, który poprzez swój wielki format jest w stanie ukazać każdy, nawet najbardziej skrywany, stan emocjonalny – została wykorzystana tu po mistrzowsku. I wręcz zaskakuje tym, jak dużo można opowiedzieć za pomocą tak niewielu słów, jak mocno to oddziałuje na emocje i jak zapada w pamięć.

No właśnie, dobrze zbudowane emocje i sprawnie nakreślone pobudki bohaterów są tym, za czym podąża widz. I tego brakuje w wielu polskich filmach o tematyce historycznej, w których twórcy za bardzo skupiają się na efektywności wizualnej scen. Wystarczy przypomnieć takie rozczarowujące dzieła, jak „Bitwa warszawska 1920”, „Tajemnice Westerplatte” czy tegoroczna „Historia Roja”. Okazuje się, że nie ma tu znaczenia wysokość budżetu czy doświadczenie reżysera, ale świadomość, co jest dla widza najważniejsze i co na niego działa.

Perfekcyjnie pod względem wykorzystania środków filmowego wyrazu jest zrealizowany „Wołyń”. Można powiedzieć:

na światowym poziomie. Doskonałe zdjęcia, fantastyczna i przekonująca gra aktorów, realistyczna scenografia, nietypowy montaż i ciekawe wykorzystanie efektów dźwiękowych, przy jednoczesnym nieużywaniu muzyki, sprawiają, że właściwie nie ma się do czego przyczepić. Po raz kolejny Smarzowski udowodnił, że wie, jak robić kino.

Świat filmu w Stanach Zjednoczonych wygląda zgoła inaczej. Hollywood zbudowane jest na kinie producenckim, a nie autorskim (jak w Europie). To pieniądze decydują o tym, czy film powstanie i jaki ma przybrać kształt. Wszystko jest dokładnie obliczone. Wiadomo, ile film ma kosztować, jaki trzeba osiągnąć efekt i jaki będzie na tym zarobek. Amerykanie dokładnie wiedzą, który przycisk nacisnąć w człowieku, by ten się wzruszył i wykorzystują tę wiedzę przy realizacji filmów. Przez lata cały filmowy świat uczył się od nich rzemiosła, niejednokrotnie nieudolnie je naśladując. I nawet my – Europejczycy, wyczuwając cały ten kicz i tendencyjność, tak często pojawiające się w amerykańskim kinie, i tak potrafiliśmy zalewać się łzami podczas seansów hollywoodzkich produkcji. I niby śmiałyśmy się z patosu, z lukru, z amerykańskiej flagi w każdym ujęciu, a jednak zapamiętaliśmy te filmy, bohaterów, emocje i często z przyjemnością do nich wracamy. Trudno się dziwić, że Amerykanie przez lata czuli swoją siłę. Kino to poczucie w nich umacniało.

Wracając do rozważań na temat budowania tożsamości narodowej, dumy, albo po prostu zadowolenia z bycia Polakiem, stawiamy znów pytanie: czy musimy wciąż opowiadać o czasach wojny? Rozliczenia z nią nigdy się nie kończą. Fakt, II Wojna Światowa była dla nas gigantyczną traumą, a rzeczywistość, w jakiej dzisiaj żyjemy, to wypadkowa jej na-

stępstw. Co dekadę pojawiają się nowe tematy, z którymi nadal się nie rozliczyliśmy, bohaterowie, o których przez lata nie pamiętano. Nie ma wątpliwości, że pamięć jest ważna, ale duża część Polaków jest też tym rozdrapywaniem ran zmęczona. Potrzebują wzorców na czasy pokoju. Dziś w kinematografii brakuje mody na bohaterów pozytywistycznych! Ktoś powie, że pozytywizm to nudy, przecież zakatowano nas nim w szkole... Tak nie jest, wystarczy tylko umiejętnie opowiedzieć historię. Wbrew pozorom to sposób opowiedzenia, a nie sama historia, sprawa,

Europejczycy, wyczuwając cały ten kicz i tendencyjność, tak często pojawiające się w amerykańskim kinie, i tak potrafili zalewać się łzami podczas seansów hollywoodzkich produkcji

że może ona porwać. Jest to kolejna tajemnica zawodu filmowca. Jeśli odpowiednio wyraźnie narysuje się pobudki bohatera, jeśli rzuci się mu pod nogi wystarczająco dużo kłód, tchnie siłę do pokonywania ich, a następnie ukaże się jego rozterki, upadki i ponowne powstanie, to praktycznie każdy widz da się porwać i oczarować. Uważam, że tak było w przypadku doskonale skrojonego polskiego filmu sprzed dwóch lat, o isticie pozytywnym bohaterze – Zbigniewie Relidze. Film „Bogowie” w reżyserii Łukasza Palkowskiego to opowieść o polskim pionierze przeszczepów serca, który wbrew władzy, środowisku lekarskiemu, ogólnie

przyjętej etyce, a nawet własnemu doświadczeniu (śmierć pacjentów) brnie, z wielką pewnością siebie, w stronę celu – wdrożenia nowej metody ratowania życia ludziom chorym na serce – transplantacji. Nie jest przecież bohaterem idealnym, jest cholerykiem i alkoholikiem. Nie trzeba zatem stawiać na piedestale, kłaść kwiatów i bić pokłonów, ukrywając każdą brudną cechę, by opowiedzieć o niezwykłym człowieku, mogącego być wzorem, inspiracją i przyczynkiem do wzbudzenia poczucia dumy z przynależności do narodu, którego członkowie potrafią mieć taką siłę. I to jest prawdziwy niezłomny bohater.

Dlatego warto wspomnieć też o tegorocznej produkcji, mówiącej o wyjątkowym człowieku, który podobnie jak Religa może nie tylko ubogacić świadomość Polaków na temat dzieci ich ojczyzny, ale także stać się swoistym „towarem eksportowym”. Filmem opowiadającym ciekawe i nieznanne na świecie historie ludzi, których ukształtowała trudna polska rzeczywistość. „Ostatnia rodzina” traktuje o malarzu Zdzisławie Beksińskim. To historia poniekąd uniwersalna, o relacjach (choć w dość nietypowej rodzinie), o niezrozumieniu świata, o ukrytych żądzach. Osadzona w typowej polskiej rzeczywistości, o jakże znanym większości z nas życiu w blokach, w PRL-owskiej skromności. Film nie odpowiada na pytanie, które nasuwa się dość szybko: w jaki sposób taki człowiek i takie dzieła zrodziły się w takiej zwyczajności? Czy jego wychowanie i pierwsza faza pracy twórczej na Podkarpaciu – miejscu o złożonej historii – miały tu znaczenie? Mocniej zainspirowany widz może poszukać odpowiedzi na własną rękę. Nie ma jednak wątpliwości, że po premierze wzrosło zainteresowanie samym artystą, jego wielopłaszczyznową twórczością oraz jego sy-

nem, który także był osobą publiczną. Filmy biograficzne zawsze pobudzają do szerszego zainteresowania bohaterem. Może właśnie w ten (dotychczas mało popularny w naszej rodzimej kinematografii) sposób można ciekawie opowiadać o Polsce?

Po obejrzeniu wspomnianych wyżej premier pojawia się pozytywna myśl, że w końcu coś dobrego zaczyna się dziać w polskim kinie. Okazuje się, że można opowiadać w swoim stylu, bez tępego zapatrzania na Hollywood, można pokazać cierpienie bez gloryfikacji bohaterów, można przedstawić obie strony medalu

bez umniejszania ofiarom. Wystarczy świadomość, że bezmyślna spektakularność nie zadziała na widza, a skrajność będzie pokarmem tylko dla towarzystwa wzajemnej adoracji.

I choć sama jestem praktykiem kina, wiem, jakimi zasadami rządzi się realizacja filmów, zdaję sobie sprawę, że każdy filmowiec chce przecież zrobić dobry film, to nadal pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego to tak często nie wychodzi. A przecież nie tylko temat, ale właśnie sam film, jego jakość i sposób oddziaływania może być tym, co da polskiemu widzowi poczucie satysfakcji i dumy.